

# TADEUSZ MAZOWIECKI IN MEMORIAM

## SPOTKANIA Z TADEUSZEM MAZOWIECKIM

### JERZY JEDLIICKI

prof., historyk i socjolog związany z Instytutem Historii PAN. Wykładowca Uniwersytetu Łatającego, współtwórca Towarzystwa Kursów Naukowych (1978), publicysta prasy niezależnej. Autor wielu prac naukowych z dziejów kultury i społeczeństwa polskiego XIX i XX wieku, wydał m.in. *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku* (1988, 2002), *Źle urodzeni, czyli o doświadczeniu historycznym. Scripta i postscripta* (1993), *Świat zwyrodniał. Lęki i wyroki krytyków współczesności* (2000). Redaktor *Dziejów inteligencji polskiej do roku 1918* i autor drugiego tomu tej serii: *Błądne koło 1832-1864* (2008).

To musiało być pod koniec 1969 r. Nie pamiętam, przez kogo doszła wiadomość, że Tadeusz Mazowiecki chciałby się ze mną widzieć. Nie zwlekałem. To była, zdaje się, moja pierwsza wizyta na Kopernika, gdzie redakcja „Więzi” zajmowała dwa małe pokoiki w Klubie Inteligencji Katolickiej. Redaktor przeszedł z miejsca do rzeczy: chciał, ni mniej, ni więcej, zaproponować mi współpracę z miesięcznikiem. Byłem zaskoczony i wybąkałem coś w tym sensie, że moja sytuacja od ubiegłego roku jest tego rodzaju, iż pojawienie się na łamach „Więzi” może tylko przysporzyć jej kłopotów. Redaktor odpowiedział spokojnie, że pismo ma w tym interes, żeby przyciągnąć trochę dobrych piór.

I rzeczywiście: to jakoś w tym czasie zaczęły się pojawiać w „Więzi” regularnie felietony Wiktora Woroszyńskiego, a w „Tygodniku Powszechnym” Antoniego Słonimskiego i innych. Nikt nie pytał o stosunek do religii i Kościoła, nikt nie narzucał tematów. Ze mną nie było mowy o stałych dostawach, miałem wiedzieć, że będę miło widzianym autorem. Jakoż od tego czasu zacząłem bywać na Kopernika – w redakcji i czasem na zebraniach w Klubie.

\* \* \*

Z większą niż przedtem uwagą przeglądałem teraz „Więź”, a w nim artykuły Mazowieckiego, zwłaszcza odkąd wybrane wyszły w 1970 r. w książce *Rozdroża i wartości*. Gdy tom ten zdejmuję dzisiaj z półki, widzę po moich zakreśleniach, że mniej mnie zajmowały sprawy wewnętrznej posoborowej reformy Kościoła, bardziej postulatory dotyczące stosunku chrześcijaństwa do świata współczesnego. Oczywiście te dwie sprawy były ściśle ze sobą związane, ośrodkowymi słowami były otwartość i dialog. Dialog przede wszystkim z niewierzącymi; zrazu utożsamiani byli oni głównie z „marksistami”, to zaś znaczyło: z otoczeniem, względem którego Kościół owych lat musiał siłą rzeczy formować swoją postawę. Niemniej w rozprawie *Kontury dialogu* Mazowiecki sprzeciwił się takiemu zrównaniu, gdyż – jak pisał, powołując się na kardynała Franza Königa – „Marksizm stanowi tylko jedno ze współczesnych stanowisk odrzucających wiarę religijną. Utożsamienie to nie jest zatem ani prawdziwe, ani słuszne”. Dokonują go zaś – dodawał – i katolicy, i sami marksiści, którzy czasem „sprawiają wrażenie, jakby uważali, że każdy niewierzący jest marksistą”<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> T. Mazowiecki, *Rozdroża i wartości*, Warszawa 1970, s. 77.

Z tą chwilą odczułem, że autor mówi do takich jak ja, i dialog zaczął mnie osobiście obchodzić. W artykule *Cień kontrreformacji*, pomimo spokojnego i miarowego, jak zwykle, stylu Mazowieckiego, czuło się dramatyczne napięcie chrześcijanina, który nie godził się na fundamentalny pesymizm historyczny swojego Kościoła, uznającego (w głównym swoim nurcie) współczesną cywilizację za duchowe spustoszenie i nieszczęście.

Z początkiem lat siedemdziesiątych zabrałem się do zamierzonej pracy o stosunku polskiej inteligencji do nowoczesnej cywilizacji Zachodu i rozważania Mazowieckiego o ambiwalencji tej cywilizacji trafiały dokładnie w moje zainteresowania. „Powracamy w tym punkcie – czytałem – do zasadniczego pytania o istotę zagrożeń tkwiących w nowoczesnych warunkach cywilizacyjnych. Prawdziwy konflikt – widać to coraz bardziej wyraźnie – nie przebiega bynajmniej wzdłuż linii dzielącej kulturę humanistyczną i kulturę przyrodniczo-techniczną. [...] Istotny konflikt dostrzec można gdzie indziej; tkwi on w mechanizmach redukujących pełne, ludzkie wymiary aspiracji, dążeń i perspektyw człowieka”<sup>2</sup>.

Ten sposób myślenia, rozwinięty zwłaszcza w artykule *Między XIX i XXI wiekiem*, był mi bardzo bliski, tyle że ja na długie lata utknąłem w wieku XIX, a Mazowiecki – jak choćby powyższy tytuł wskazuje – interesował się głównie współczesnością. Do dzisiaj żał mi, że nie podjąłem dyskusji z tak ważną, a niedocenioną książką, jaką były *Rozdroża i wartości*.

\* \* \*

Udało się jednak podjąć rozmowę na temat nie bardzo od tamtego odległy. W listopadzie 1977 r. Mazowiecki zorganizował w warszawskim KIK konferencję na temat praw człowieka. Temat w tym właśnie czasie stał się popularny, w znacznej mierze dzięki prezydentowi Jimmy’emu Carterowi, który uczynił z niego swoje hasło rozpoznawcze. Sesja KIK była

zdarzeniem wyjątkowym przez swój poziom i gorącą aktualność. Jej tytuł brzmiał „Chrześcijananie wobec praw człowieka”, ale Mazowiecki rozplanował ją w ten sposób, żeby spotkały się z sobą referaty o różnych aspektach tych praw: legislacyjnym (Jakub Karpiński), administracyjno-prawnym (Jolanta Strzelecka), gospodarczym (Stefan Kurowski), kulturalnym (Jacek Woźniakowski), kościelnym (o. Władysław Skrzydlewski) i o różnych tradycjach ideowych: liberalnych (Jedlicki), socjalistycznych (Jan Strzelecki), biblijnych (Stanisława Grabska). Wprowadzenie do tematu było oczywiście Mazowieckiego, a w końcowej dyskusji „okrągłego stołu” (a tak!) wypowiedzieli się Jerzy Turowicz, Andrzej Grzegorzczak, Bohdan Cywiński, Adam Stanowski i ponownie Tadeusz Mazowiecki. Przez pięć wieczorów, przy pełnej sali, rozmawiali więc ze sobą ludzie o bardzo różnym profilu intelektualnym, a przecież dobrze się rozumiejący i umiejący się spierać z szacunkiem. Mówiliśmy pełnym głosem, bez cenzuralnego skrępowania, ale też bez agitacyjnego tonu.

Jednym z problemów, które poruszyłem w swoim odczycie o antynomiiach liberalnej koncepcji wolności, była kwestia kompromisu, którą uważałem (i nadal uważam) za główną metodę dochodzenia do wzajemnego zrozumienia. „Nic bowiem groźniejszego – mówiłem – jak totalny triumf jakiegokolwiek jednej zasady. Metoda kompromisu nie z tchórzostwa więc wypływa ani z braku wiary własnej, lecz z poszanowania drugiego człowieka, klasy, narodu czy Kościoła; natomiast ideologiczny monopolizm wiąże się nieuchronnie z pogardą dla tych wszystkich, co mają inne marzenia i inny ideał życia”<sup>3</sup>.

Nawiązał do tych słów Mazowiecki w swoim znakomitym słowie końcowym, ale pojęcie ideowego czy politycznego kompromisu wyraźnie obwarował. „Kompromis między rządzonymi a rządzącymi – mówił – nie jest poza granicą naszych rozważań o prawach człowieka i obywatela i o procesie rewindykacji tych praw. Ale chodzi o kompromis, a nie o poddaństwo

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 251.

<sup>3</sup> *Chrześcijananie wobec praw człowieka*, Paris 1980, s. 83.

myśli i postaw ludzkich. Wiemy jednak, że taki kompromis, który nie jest poddaństwem, musi być wywalczony. Tylko społeczeństwo, które okazuje swą zdolność do samoobrony w proteście [...] i które w sobie zachowuje zdolność bycia podmiotem, może w ogóle coś ocalać i coś wywalczać”<sup>4</sup>.

To wraz z końcowym zapożyczeniem z wiersza Zbigniewa Herberta było mocnym, dobitnym akordem tej sesji, która powinna się była odbić szerokim echem w polskiej opinii publicznej. Był to wszak czas, kiedy KOR przekształcił się właśnie w Komitet Samoobrony Społecznej KOR, rodziły się studenckie komitety solidarności, pokazały się pierwsze wydawnictwa podziemne. Ale też cenzura czuwała i tak pocięła w „Więzi” niektóre referaty z sesji (w tym mój) tudzież wypowiedzi z dyskusji, że trzeba je było wycofać z drukarni. Sesja ukazała się ciężko okaleczona, a w całości po dwóch latach w paryskim wydawnictwie oo. pallotynów, w kraju zaś dopiero... w czasie stanu wojennego (i to w cenzurowanym „Znaku”), kiedy ich inicjator siedział w obozie dla internowanych.

\* \* \*

Wykłady – otwarte, ogłaszane za pomocą ulotek rozrzuconych po warszawskich uczelniach – zaczęliśmy prowadzić w prywatnych mieszkaniach w październiku czy listopadzie 1977 r. Było nas najpierw kilku, potem kilkunastu, słuchacze siedzieli w skupieniu na podłodze, dyskusje były żywe. W styczniu 1978 r. powstało Towarzystwo Kursów Naukowych, złożone ze znanych uczonych i pisarzy, a miało ono w założeniu chronić naszą działalność przed jej rozbięciem przez aparat partyjno-policyjny. Póki mogłem, sprzeciwiałem się tworzeniu TKN – a to w przekonaniu, że nie osłoni ono bynajmniej pracy edukacyjnej, lecz przeciwnie, narazi ją na jeszcze silniejsze przeciwdzierzenie władz. Rozwój wypadków dowiódł, że miałem rację, ale z tą swoją marną racją zostałem wybrany do komisji programowej i działałem w niej

z dobrą wolą, choć zachowując sceptycyzm, z którym pozostałem samotny. Wszyscy moi przyjaciele, koledzy i koleżanki byli z reguły o krok do przodu, i Mazowiecki wśród nich, chociaż zawsze z rozważą.

O ile mnie pamięć nie zawodzi, wszedł tylko do pierwszego składu komisji, ale był jednym z najbardziej wpływowych autorytetów tego środowiska. Ze względu na retorsje władz, ale także nasze wewnętrzne różnice zdań w sprawach taktyki działania, zapamiętałem czas TKN jako dość nerwowy. Jednak te dwa, niecałe trzy lata zaowocowały mocnymi, później wypróbowanymi więzami przyjaźni. Zbliżyłem się wówczas i do Tadeusza, choć on nie dopuszczał zbyt bliskiej poufałości, co przejawiało się choćby w tym, że nigdy nie rozmawialiśmy na tematy osobiste ani na tematy wiary i niewiary. Rozmowy toczyły się wokół spraw aktualnych, głównie działań opozycyjnych.

Jedną ze spraw, która go zawsze niepokoiła, był polski brak kultury politycznej. Pisał już o tym w „Więzi” w latach sześćdziesiątych, zatroskany dość powszechną niechęcią albo nawet pogardą Polaków do sfery politycznej i wszystkiego, co się z nią wiąże. Genezę takiej postawy nie było trudno wytłumaczyć, ale Mazowiecki obawiał się, że to skutkować będzie trwałą utratą myślenia państwowego. O poziomie kultury politycznej narodu stanowi po pierwsze – pisał – „umiejętność wyciągania wniosków z historii”, po drugie „zdolność przetwarzania własnego doświadczenia dziejowego” i po trzecie nasycenie polityki państwowej świadomością moralną. Ta zaś nie ma być egoizmem narodowym ani wyznaniowym, lecz uznaniem pluralizmu społeczeństwa i pluralizmu wartości. Artykuł kończył się oczekiwaniem dopuszczenia rzeczowej krytyki tego naszego socjalizmu<sup>5</sup>. To nie były wówczas małe postulaty – zwłaszcza że nie wiemy, co tam wykreśliła cenzura.

Do tematu kultury politycznej Mazowiecki powrócił po dwudziestu latach, kiedy czuło się już w powietrzu świeży powiew. W 1988 r. w imieniu redakcji „Więzi” rozesał do kilkunastu wybranych autorów

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 166.

<sup>5</sup> T. Mazowiecki, *Rozdroża i wartości...*, s. 257–279.

ankietę. Możemy się spodziewać – pisał – że wybijemy się w końcu na demokrację: „Czy jesteśmy do tego przygotowani? Co Pan/Pani uważa dziś za najważniejsze w rozwoju kultury politycznej Polaków?”<sup>6</sup>. Zaimponowała mi ta wyprzedzająca troska o styl działań Polaków, gdy już dostaniemy tę wymarzoną wolność i demokrację. W swojej odpowiedzi rozróżniłem cztery przymioty obywatelskie, składające się – w moim rozumieniu – na kulturę polityczną: 1) chęć i wola uczestniczenia w życiu publicznym, 2) umiejętności korzystania z praw i instytucji, 3) rozeznanie w materiach politycznych, 4) obyczaje i etyka walki.

Odpowiedzi ukazały się w ostatnim numerze „Więzi” z 1988 r., tuż przed otwarciem obrad Okrągłego Stołu. Niewiele ponad rok później wybuchła tzw. wojna na górze i od tej pory wciąż przybywa dowodów na to, jak proroczy był niepokój Mazowieckiego.

\* \* \*

Któregoś dnia rano, w połowie sierpnia 1980 r., zostałem wezwany przez Tadeusza Kowalika, żeby natychmiast do niego przyjechać. Gdy przybyłem, po podwórku domu przy al. Niepodległości spacerował Kowalik z Bronisławem Geremkiem. Dowiedziałem się, że musimy napisać list do obydwu stron konfliktu gdańskiego, żeby za wszelką cenę zapobiec rozlewowi krwi. Nazajutrz spotkaliśmy się w zakładzie edycji pism Oskara Langego i Michała Kaleckiego, gdzie właśnie Kowalik pracował i gdzie czarująca pani Felicja Lange cierpliwie przepisywała nam kolejne warianty i kopie listu. Pisałem ten list i zdawało się, że był niezły, ale dołączył do nas Tadeusz Mazowiecki, który miał świeższe z Gdańska wieści i wiedział, że trzeba pisać nie do samych tylko stoczniowców, lecz do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. A co ważniejsze, mój projekt był adresowany jakby równo do obu stron, żeby się zachowywały odpowiedzialnie i jedna drugiej nie prowokowała. Mazowiecki uchylił tę symetrię; pod jego piórem list stał się jedno-

znacznie poparciem strajkujących robotników. Byłem więc znowu o krok z tyłu i bez sporu uznałem rację Tadeusza.

Tegoż dnia sztab akcji przeniósł się do mieszkania Geremków na Pivnej, dokąd jeden po drugim przybiegali młodzi ludzie zbierający podpisy. Nigdy przedtem nie szło to równie łatwo. Do wieczora zebrało się tych podpisów 64, i to przeważnie znanych nazwisk. Dzień później, jeśli dobrze pamiętam, Geremek pismo to z podpisami złożył na dziennik podawczy w Komitecie Centralnym PZPR i zdążył z tym, zanim do jego mieszkania weszła spóźniona milicja z przeszukaniem.

Nie pytałem, kto i jak ma doręczyć ten list drugiej stronie. Byłem zaskoczony, gdy mi Kowalik powiedział następnego dnia, że Geremek i Mazowiecki o świcie wyjechali do Gdańska. Dalszy ciąg tej wyprawy jest dość dobrze znany. Warto może przypomnieć jeden przykry zgrzyt. Kiedy zbieraliśmy podpisy pod listem, postanowiliśmy, że nie będziemy o nie prosić członków KSS KOR. Chodziło o to, żeby ten apel nie wyglądał na jeszcze jedną akcję tego samego co zwykle środowiska i żeby władzy, do której zwracaliśmy się z przestrogą, nie straszyć nazwiskami, które wydawały się jej najgroźniejsze. Może był to błąd; w każdym razie z chwilą, gdy w trakcie akcji dowiedzieliśmy się o aresztowaniach korowców, należało pewnie pójść do „starszych państwa”, którzy pozostali na wolności, tj. do prof. Jana Kielanowskiego, prof. Edwarda Lipińskiego i innych. Ale wszystko działo się bardzo prędko i nie było już czasu na zmianę decyzji. Sprawa ta przez środowisko KOR została uznana – niesłusznie – za chęć wykluczenia i pozostawiła osad nieufności. Ten osad nasilił się, gdy pod sam koniec negocjacji z ministrem Jagielskim w Stoczni Gdańskiej pojawiła się pogłoska, że skoro uwolnienie uwięzionych nie znalazło się na liście 21 postulatów, to znaczy, że Wałęsa i jego doradcy poświęcili korowców.

Wiedziałem, że jest to nieprawda. Geremek telefonował do mnie z Gdańska każdego wieczoru, znałem w ogólnym zarysie stan tej sprawy, którą doradcy

<sup>6</sup> J. Jedlicki, *Źle urodzeni, czyli o doświadczeniu historycznym. Scripta i postscripta*, Londyn – Warszawa 1993, s. 156.

odłożyli na koniec, ale bynajmniej nie zamierzali odpuścić<sup>7</sup>. Plotka poszła jednak w Polskę. 1 września od rana uwięzieni wychodzili jeden po drugim i zbierali się w dawnym moim mieszkaniu na Żoliborzu, gdzie mieszkała moja pasierbica Magda z mężem Mirkiem Chojeckim. Pojechałem tam, żeby powitać uwolnionych i wraz z nimi uczcić upajający moment zwycięstwa. Spodziewałem się uznania i pochwały, że gdy korowcy siedzieli za kratami, zastąpili ich i ster objęli „eksperci” (jak ich nazwano) ze środowiska TKN. Tymczasem zastałem gęsty tłum, przez który przepychał się do mnie Jacek Kuroń i powitał mnie bluzgiem złości, krzycząc, że jak się ktoś nie zna na polityce, to nie powinien się pchać. Poczułem w tym nie tylko nieufność, ale i coś więcej: zazdrość, że moi przyjaciele zjawili się tam, gdzie powinien być KOR. Była to krzycząca niesprawiedliwość pod adresem Mazowieckiego, Geremka i reszty doradców Wałęsy, którzy z ogromną zręcznością i kompetencją wykonali w Gdańsku robotę uwieńczoną niebywałym sukcesem. Nie miałem ochoty słuchać tych pretensji; obróciłem się na pięcie i wyszedłem.

Przez następne gorączkowe dni kto żyw nagabywał mnie, o co właściwie chodzi w konflikcie KOR – eksperci. To zdawało się najbardziej interesować ludzi. Szczęśliwie Kuroń przybywszy do Gdańska dogadał się bez trudu z Geremkiem i sprawa szybko ucichła, ale Mazowiecki w wywiadach musiał się jeszcze tłumaczyć.

\* \* \*

Kiedy Tadeusz Mazowiecki objął redakcję wywalczonego „Tygodnika Solidarność” i zaczął kompletować zespół autorski, zaproponował mi współpracę. Chciałem pisać krótkie felietony, cięte komentarze do bieżącej sytuacji, o objętości najwyższej jednej strony maszynopisu. Rubryka nazywała się „Wolne wnioski”. Szło mi to nieźle, ale współpraca nie najlepiej się

układała. Nie udało mi się wyprosić stałego miejsca dla mojego kącika, który był przerzucany ze strony na stronę, a czasem bez uprzedzenia wypadał. Cięża to też cenzura, która w tym 1981 r. była wprawdzie dość nieśmiała, ale jednak czuwała, zwłaszcza gdy rzecz dotyczyła interesów wschodniego sąsiada.

Raz jednak w roli cenzury znalazła się redakcja „Tygodnika”. Nie o felieton wtedy poszło. Zjazd Solidarności w Oliwie w pierwszej swojej turze uchwalił pamiętne *Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*. Dzisiaj akt ten uważa się przeważnie za tytuł do chluby i dowód dalekowzroczności. Ja wówczas uznałem tę uchwałę za dowód zbiorowej głupoty i nieodpowiedzialności (i zdania tego nigdy nie zmieniłem). Przerażony i wściekły napisałem w godzinę czy dwie, w przerwie między dwiema turami zjazdu (w którym nie brałem udziału), bardzo ostry list otwarty do delegatów, którzy owładnięci zbiorową pychą narażają siebie, związek i kraj na śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyż lepszego pretekstu do interwencji wojsk Układu Warszawskiego darmo by szukać.

List ten zaniósłem oczywiście do redakcji, a tu spotkała mnie niespodzianka. Mazowiecki, wspierany przez Waldka Kuczyńskiego i Bohdana Cywińskiego, odmówił publikacji tekstu tak otwarcie krytycznego względem uchwały zjazdu. Rozmowa nie dotyczyła w ogóle tego, czy ja mam rację, czy nie mam, tylko tego, że „Tygodnik” jest pismem Solidarności. Nie był to, o ile wiem, jedyny przypadek, kiedy Mazowiecki był o wiele bardziej skrupowany poczuciem lojalności względem swoich związkowych mocodawców, niż był kiedykolwiek spętany jako redaktor cenzurowanej „Więzi”.

Co było robić? Pokazałem ten list Geremkowi, który powiedział mi, że nie miałby zastrzeżeń do jego ogłoszenia. Tym wzmocniony poszedłem do Blumsztajna, który redagował biuletyn zjazdu. Sewek odpowiedział, że może publikować, ale pod warunkiem, że zamówi drugą wypowiedź, polemizującą z moim

<sup>7</sup> Andrzej Friszke pisze, że Jedlicki dzwonił „z Gdańska” do dyżurującej w mieszkaniu Kuroniów Ewy Kulik z informacją, „że do południa 1 września mają być zwolnieni wszyscy aresztowani” (A. Friszke, *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności*, Kraków 2011, s. 574). Jest to omyłka: dzwoniłem ze swojego warszawskiego mieszkania.

stanowiskiem. Przeciw temu nic mieć nie mogłem i sprawa zdawała się załatwiona. W tym jednak momencie ukazał się w prasie list Biura Politycznego KPZR do kierownictwa polskiej partii i rządu, a w nim zdanie: „Oczekujemy, że kierownictwo PZPR i rząd PRL bezzwłocznie podejmą zdecydowane i radykalne kroki w celu przecięcia złośliwej antyradzieckiej propagandy i wrogich wobec Związku Radzieckiego akcji”<sup>8</sup>.

W tym stanie rzeczy zadzwonił ponownie Geremek, aby mi powiedzieć, że moja krytyka zjazdu w takim kontekście została opacznie zrozumiana. Postuchałem go i list do delegatów w ostatniej chwili wycofałem. Nigdy się nie ukazał. Wedle Jerzego Holzera zarówno Wałęsa, jak eksperci, „od bliskiego prymasowi Kukułowicza, przez Mazowieckiego i Geremka, prawdopodobnie aż do Kuronia, uważali uchwalenie *Postania* za błąd”<sup>9</sup>. Niemniej lęk przed publicznym konfliktem z radykalizującym się związkiem paraliżował ich odwagę. Ja zaś od żadnych władz związkowych nie zależałem.

\* \* \*

Byłem w pierwszej, kilkunastoosobowej grupie internowanych, którzy w trzy dni po ogłoszeniu stanu wojennego zostali przetransportowani z Białołęki do domu wczasowego służb lotniczych w Jaworzu, w Puszczy Drawskiej. W skromnych, lecz przyzwoitych pokojach stały tanie radiodbiorniki, w których zostały pospiesznie wymontowane zakresy fal rozgłośni zachodnich. Z tym jednak łatwo się uporali nasi koledzy technicy i już na drugi dzień słuchaliśmy polskich audycji radia France Inter, które były najlepiej słyszalne. I poraziła nas wiadomość, że Tadeusz Mazowiecki został zabity. Do dziś nie wiem, skąd wzięła się ta brednia, której wiarygodności dodawać miała wiadomość, że kard. Jean-Marie Lustiger, arcybiskup

Paryża, odprawił nabożeństwo za duszę naszego przyjaciela.

Na szczęście zachowaliśmy zdrowy sceptycyzm. Gdy zaś pojawił się nasz służbowy opiekun z ramienia gen. Kiszczaka, płk Romanowski, zapytaliśmy go natychmiast o to, co z Mazowieckim. Jak to co? – zdziwił się pułkownik. – Właśnie go tu przywiozłem, jest w drugim budynku. Był już wieczór, drzwi wyjściowe zamknięte.

Rano przed śniadaniem czekałem na dziedzicu. Tadeusz wyszedł po chwili, blady, ale niezłe wyglądający. Ode mnie pierwszego dowiedział się o swojej śmierci. „O Boże – przeraził się. – Chłopycy!” Ale rychło okazało się, że jego synowie nie uwierzyli w stugębną plotkę. Tadeusz był zrazu internowany w Strzebielinu koło Gdańska, skąd go wieziono, jego jednego, do Jaworza, ale cały czas nie mówiąc, dokąd ani w jakim kierunku. Mając w pamięci Węgry i Czechosłowację, lękał się, czy nie jedzie aby na wschód.

Po tej przygodzie odezwały się bóle krzyża, które na czas jakiś zmusiły go do leżenia. Był już przeniesiony do naszego budynku. Co wieczór zbieraliśmy się w kilka osób wokół jego łóżka i rozpamiętywaliśmy minione miesiące. Brał w tym udział, jeśli się nie mylę, Kuczyński, Stefan Amsterdamski, nie pomnę, kto jeszcze. Te rozmowy ochrzczono w Jaworzu nieco złośliwie mianem „biura politycznego”.

Więcej o „internatach” w Jaworzu i – od maja 1982 r. – w DarłóWKu można poczytać w dziennikach, które bujnie w tych warunkach obrodziły, pomagając rozproszyć nudę pobytu w zamknięciu (choć we względnie dobrych warunkach). O terminach zwalniania decydowała łaska generalska. Ja wyszedłem w lipcu 1982 r., Mazowiecki w ostatniej grupie, w wigilię Bożego Narodzenia, odsiedział więc przeszło rok. Na niego, na Geremka i kilku innych ciżba ludzi czekała, żeby ich powitać, na peronie Dworca Centralnego.

<sup>8</sup> Cyt. za: J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981. Geneza i historia, Warszawa 1983, s. 182.

<sup>9</sup> *Ibidem*, s. 180.

\* \* \*

Na początku października 1989 r. wyleciałem wraz z żoną do Waszyngtonu. Mazowiecki był już wtedy premierem i najbliższy rok zapowiadał się fascynująco. Bardzo się nie chciało w takiej chwili opuszczać kraju, ale niepodobna było wzgardzić stypendium, które było wielką wygraną, marzeniem każdego naukowca. Jednak dziesięciomiesięczny pobyt w Stanach miał także parę polskich momentów, wartych wspomnienia.

Pierwszym była mowa Lecha Wałęsy w potoczonych izbach Kongresu 15 listopada 1989 r. Pisano o tym nieraz, ale chciałbym dorzucić parę spostrzeżeń naoczego świadka. Udało się nam bowiem dostać karty wstępu na galerię dla publiczności. Powitanie Wałęsy przez kongresmenów było entuzjastyczne, a kiedy rozpoczął mowę i za nim Jacek Kalabiński ryknął swoim basem: „We, the People”, Kongres oszalał. Przerywano oklaskami co parę zdań, a na koniec zgotowano Wałęsie niekończącą się owację. Był to niezwykły triumf, oboje z żoną pęcznieliśmy z narodowej dumy. Kalabiński, korespondent Radia Wolna Europa w Waszyngtonie, był jako tłumacz współtwórcą tego sukcesu dzięki swej znakomitej angielszczyźnie i niezapomnianemu tembrowi głosu. Nieco później dowiedzieliśmy się o jeszcze jednym autorze sukcesu Wałęsy, mianowicie o tym, że jego mowę, ze znakomicie rozmieszczonymi akcentami, napisał Kazimierz Dziewanowski, który wkrótce miał zostać ambasadorem w Waszyngtonie. Takich rzeczy się na ogół dyplomatycznie nie ujawnia, ale po upływie ćwierci wieku można, a nawet należy. Tym razem nie spełniło się bowiem powiedzenie, że klęska jest sierotą, zwycięstwo zaś ma wielu ojców. Wałęsa nie miał w zwyczaju dziękować – przynajmniej publicznie – tym, którzy na niego pracowali. Całą chwałę zwykł zagarniać dla siebie.

Tuż przed świętami 1989 r. dostałem telefon z Warszawy. Dzwonił, jeśli dobrze pamiętam, Jacek Ambroziak. Chodziło o to, że premier otrzymać ma w wieczór sylwestrowy honorową nagrodę przyznawaną Człowiekowi Roku przez kościół św. Jana Chrzcici-

ciela, olbrzymią nowojorską świątynię na Górnym Manhattanie. Przyjechać jednak po jej odbiór nie może w obecnym gorącym czasie i chce mnie prosić, żebym go w tym zastąpił. Propozycja była dość ekscentryczna, ale wkrótce miałem na linii samego Mazowieckiego, który dał do zrozumienia, że nie chce, by w jego imieniu wystąpił, jak by wypadło, ambasador z PRL-owskiej jeszcze nominacji.

Nagrodą okazał się ciężki kamień z polerowanego marmuru, z wyrytym stosownym napisem. Kościół był wypełniony po brzegi. Po mszy zabrała głos przewodnicząca fundacji przyznającej nagrodę i wygłosiła krótkie przemówienie o zmianach w Polsce, po czym ja musiałem wejść – a jakże! – na ambonę, podziękować w imieniu premiera i podnieść w górę ten kilkukilogramowy kamień. Bardzo się bałem, żeby się nie potknąć.

Po uroczystości nagrodę wziął ode mnie urzędnik ambasady, która miała ją przestać do Warszawy. Ale zagadnięty przeze mnie po jakimś czasie Mazowiecki żadnego kamienia sobie nie przypominał i co się z nagrodą stało, nie wiem.

\* \* \*

W marcu 1990 r. sam premier przybył do Waszyngtonu na zaproszenie prezydenta George’a Busha. Dostaliśmy zaproszenie na śniadanie w Blair House, rezydencjalnym budynku opodal Białego Domu, gdzie ulokowano polską delegację. Był Mazowiecki, Kuczyński, przebywający w Waszyngtonie o. Maciej Ziemia, dominikanin, przyjaciel Tadeusza, nie pamiętam, kto jeszcze. Tadeusz opowiadał o sytuacji w kraju, o ogromnych trudnościach, jakie rząd musiał pokonywać, i o Wałęsie, który prowadził własną politykę, coraz częściej utrudniając pracę rządu.

Było już jasne, że Wałęsa zmierza do prezydentury. Co do mnie, już przed tym spotkaniem byłem przekonany, że będzie to dla kraju zgubne, ponieważ krok po kroku ujawniały się nieprzyjemne, a nawet niebezpieczne cechy przewodniczącego Solidarności: pycha, skłonność do intryg i lekceważenie demokratycznych reguł działania. Celnie to ujął Andrzej Szczypiorski

w nieznanym mi wtedy jeszcze liście do Wałęsy, gdzie pisał m.in.: „ma Pan pogardliwy stosunek do wiedzy i kompetencji innych ludzi, ulega Pan złudzeniu, że wie lepiej, rozstrzyga szybciej, decyduje mądrzej”<sup>10</sup>.

Mazowiecki był też wyraźnie zaniepokojony rozwijającą się wojną na górze. Powiedziałem wtedy przy stole: „Musisz kandydować na prezydenta. Ty jedyny jesteś w stanie go zatrzymać”. „No tak – odpowiedział – ale w takim razie musielibyśmy Wałęsę obwołać królem”. Zdawał sobie doskonale sprawę, jak

trudny ma przed sobą dylemat. Jak się rzeczy potoczyły, wiadomo.

\* \* \*

Spotkań było oczywiście więcej. Opisałem te, które najżywiej zachowały się w pamięci. Czy dokładnie i wiernie? Nie mogę zaręczyć. Pamięć ludzka jest zawodna. Autor przyjmie z wdzięcznością wszelkie sprostowania, uzupełnienia i poprawki.

<sup>10</sup> Cyt. za: J. Kurski, *Wódz*, Warszawa 1991, s. 118.